

Andrzej Walter

Zakochana w ludziach i poezji

Chyba po raz pierwszy w swoim pisaniu... nie wiem jak zacząć, bowiem w tym tekście chyba musi być tak wiele smutku i tęsknoty, że jego początek *skradnę* mojemu serdecznemu przyjacielowi, świetnemu poecie z Poznania Zbyszskowi Gordziejowi, który we wstępie do fenomenalnego tomu „Mówię o sobie ciszą” tak napisał o jego Autorce, naszej dobrej i niezapomnianej literackiej Koleżance **Jolancie Nowak-Węklarowej**:

Napisanie słowa wstępnego do pośmiertnie wydanego tomu poezji Jolanty Nowak-Węklarowej nie jest zadaniem łatwym. Kreślenie słów o zmarłej Koleżance, z którą dane mi było znać się przez kilkadziesiąt lat, z oczywistych względów ma wymiar emocjonalny. W głowie jawią się obrazy z różnych zdarzeń, ze spotkań z Jolą, słuchania wierszy przez Nią czytanych, rozmów, chwil wzajemnego milczenia, bo wprawdzie trzeba było dobrze przemyśleć sprawy literackie oraz inne dotyczące różnych sfer życia społecznego, gospodarczego i politycznego Polski, Oboje uważaliśmy, że warto zabierać głos w ważnych sprawach, po choćby krótkiej analizie ich stanu, a temu sprzyjał chwilowy bezgłos pomiędzy nami.

Jolę kochali wszyscy. Nie tylko jako poetkę, ale przede wszystkim jako dobrego, prawego i nieobojętnego człowieka, na sprawy ludzi i na ich losy splecione z losem całego świata. Człowieka, dodajmy: wielkiego formatu, człowieka *do rany przyłóż*, człowieka kolosalnej wyobraźni, a nade wszystko utalentowanej kobiety, poetki, której wiersze jakże często: poruszały, wzruszały, dawały do myślenia i były siłą sprawczą tak wielu uczuć i emocji, że z czystym sumieniem w środowisku uznawaliśmy Jolantę Nowak-Węklarową za artystkę najwyższych literackich lotów, za poetkę światowej ekstraklasy, poetkę polskiego Panteonu, choć nigdy o taki pokłask nie zabiegała, a jakże dalece była tego warta. (!) Wydany pośmiertnie tom – skromny, niepozorny, acz niesamowity tom „Mówię o sobie ciszą” jest tego najlepszym dowodem.

Choć może słów Joli nie zrozumieją Ci, którzy nigdy nie zaznali wielkiej miłości. Miłości takiej, która ocala świat, takiej która jest, była i będzie, która z biegiem dni narasta, przemienia się w przyjaźń, ewoluje do postaci niezbędności osoby dla osoby i umacnia własną siłą pielęgnacji. Taka miłość, niemal idealna, miłość jakby żywcem wyjęta z niewinności Małego Księcia, z drobnej, acz monumentalnej powieści Antoine de Saint-Exupéry... taka miłość była celem i jakby duchem

zakorzenionym w literaturze Jolanty Nowak-Węklarowej. Była ideą nademocjonalną, sprawczą, mocno wyczuwalną i chyba też stąd zachwyca mnie taki oto wiersz:

*biegliśmy
żeby zanurzyć się w swoich ramionach
w lato słonecznego potopu
w ciepło kominka długiej zimy*

*biegliśmy z miesiąca na miesiąc
strumyczkiem dzikiej krwi
na wieki wieków przeznaczenia*

*dziś stąpamy nieporadnie
rok za rokiem*

Życie toczy się swoim brutalnym prawem, a jest to prawo cielesnego obumierania, przemijania, prawo utraty, stopniowego odchodzenia, zanikania sprawności, zwinności, zręczności. To cielesność, która ulega metamorfozie. To bieg ku śmierci. W jednym kierunku. Kurczy się, marszczy, na naszych oczach przemienia, przy jednoczesnym umacnianiu ducha, krzepnięciu wyobraźni i dojrzewania mądrości do świadomej akceptacji wyroków nieodwracalnych. Wykuwa się wtedy nasze człowieczeństwo. Dojrzałość. Pojęcie sensu życia. A ów sens jest ukryty w radości, w miłości, w potrzebie drugiego człowieka i w spełnianiu poprzez życzliwość.



Fot. Andrzej Dębkowski

Jolanta Nowak-Węklarowa

To wszystko właśnie jest nam dane na wyciągnięcie ręki w fenomenie poezji Jolanty Nowak-Węklarowej. To swoiste credo tej poetki, która zakochała się w ludziach i w poezji, potrafiła niemal doskonale to wyrazić i jej wiersze już zawsze pozostaną ważne w tym kontekście. A że żadne *noble* się tego nie trzymają, że współczesny świat niemal się namiewa z takich postaw, dylematów i głosów? Tym gorzej dla tego świata. Świata coraz

potworniejszego, świata zmierzającego ku zatraceniu. Orwellowskiej groteski. Jedyne co może nas ocalić, to właśnie miłość. Może i to banalne, ale warto to tysięczny raz powtarzać. Może tych kilku szaleńców urządzających nam rzeczywistość to zrozumie? Choć nie liczyłbym na to.

Mamy, z moją ukochaną Żoną, Jadwigą, swoje własne, prywatne wspomnienie Joli, z którą razem wybierałem się niegdyś na znakomitą imprezę Galicyjskiej Jesieni Literackiej, blisko 8 lat temu, jak siedziała w naszym domu, przy pysznym obiedzie, obłożona naszym stadem zwierząt i cieszyliśmy się wszyscy razem taką chwilą i do dziś ją wspominamy, ciągle utrwalając te wspomnienia, że mogliśmy onegdaj gościć tak wyjątkową, mądrą i ciepłą poetkę, piszącą tak znakomite wiersze... Była wtedy jeszcze z nami Danusia Capliez-Delcroix Bylińska (pozdrawiamy Cię ciepło Danusiu) i z pewnością też mile wspomina tamten zakłęty czas, te nasze galicyjskie wojaże poetyckie, spotkania z młodzieżą, wieczorne dzielenie się poezją jak opłatkiem i dzielenie się słowem... jak miłością.

Dla takich chwil się żyje. Przeżyte chwile trzeba właśnie tak pielęgnować. Wspomnieniem. A chwile nienarodzone... wciąż stwarzać i szukać ich w sobie i na zewnątrz, w innych ludziach, w nowych sytuacjach, w zauważaniu ich. Po to jesteśmy na tej planecie, trzeciej od Słońca, pędzącej stale gdzieś na oślep w Wszechświecie. Jola zapewne już wie dokąd zmierzamy...

*syty mną aż po przyzwyczajenie
mówisz
zbudzi się dzień jak co dzień*

*godzina szósta zero zero
zadźwięczy w budziku i eterze
za oknem wiatr
powlecze niesienie śniegu
w łaziennej fontannie Bakczysaraju
odniesiesz zwycięstwo
nad własnym ciałem
dasz powietrzu swój śpiewny głos
przy sztuce golenia zarostu
kubek mleka
zagryziesz pajdą grzanki
umocnisz węzeł krawata na karku
zazgrzytasz kluczami w drzwiach*

*nie oszukuj się
przecież jutro
obudzisz się beze mnie*

(Dokończenie na stronie 4)